

15

Dmuchane obietnice PiS



18

Z wiecu na wiec



21

Poczet prezydentów Polski



84

Czy turyści tu wrócą?

Tematy tygodnia

- 12 Juliusz Ćwieluch
Pandemia po śląsku
- 15 Adam Grzeszak
Szklane domy Morawieckiego

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Kandydaci ruszyli w teren
- 21 ROZMOWA POLITYKI
Prof. Antoni Dudek o wszystkich prezydentach III RP
- 26 Edwin Bendyk OGLĄD I POGLĄD
Samorządowcy na froncie

Społeczeństwo

- 28 Marcin Kołodziejczyk
Strefy homofobów
- 31 Rozmowa z nurkiem **Witoldem Skrodzkim** o tym, jak ludzie toną i jak się poszukuje topielców
- 34 Edyta Gietka
Plaga donosów

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Motoryzacja na zakręcie
- 40 Cezary Kowanda
Gdzie teraz trzymać pieniądze

Świat

- 42 Tomasz Zalewski USA
Twarze czarnego buntu
- 45 Klaus Bachmann EUROPA
Po co było zamykać granice?
- 48 Tomasz Maćkowiak CZECHY
Prymas rozprawia się z mediami

Nauka i cywilizacja

- 50 Marcin Sielezniew
i **Izabela Dziekańska** o tym, co motyle mówią o przyrodzie



- 53 Tomasz Witkowski
Wirtualni psychoterapeuci

Historia

- 56 Adam Krzemiński
Skąd w Niemczech wzięli się Amerykanie
- 60 Andrzej Fedorowicz
Pierwsi więźniowie w Auschwitz

Kultura

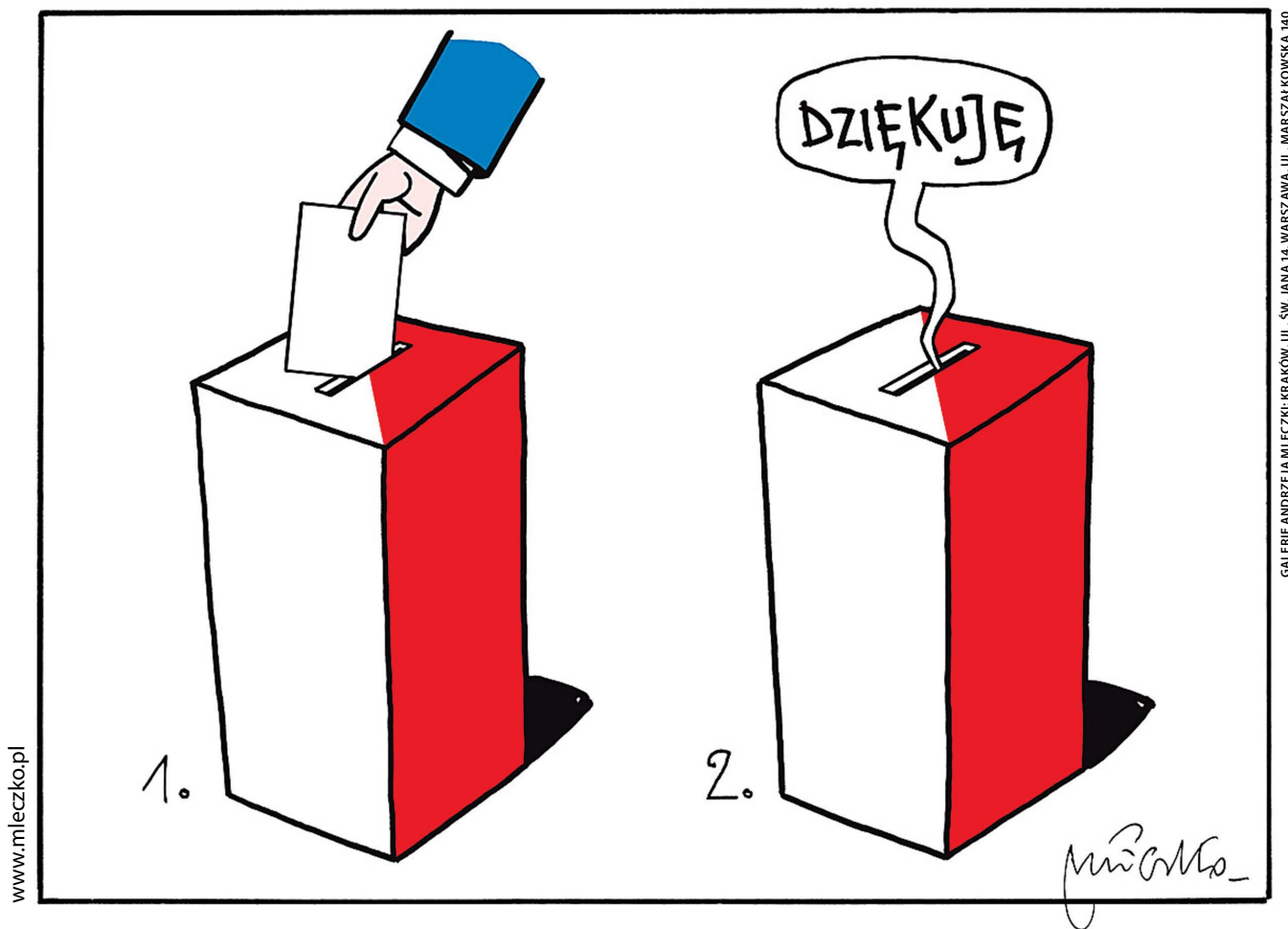
- 66 Jakub Mejer
Kina samochodowe wracają
- 70 Marek Łaziński
Spory o słowo „Murzyn”
- 72 Jakub Demiańczuk
Spike Lee: sumienie Ameryki?
- 75 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 76 Rozmowa z projektantami xystudio, laureatami Nagrody Architektonicznej POLITYKI
- 79 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 82 Jacek Dehnel
Kto ma problem z LGBT

Na własne oczy

- 84 Agnieszka Krzemińska
Turystyka po zarazie

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 62 Afisz • 80 Passent
- 81 Tym • 83 Do i od redakcji
- 90 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Nie przeginać pałki

Policja stała się poważnym problemem społecznym, który nie wiadomo, jak rozwiązać. Radni Minneapolis, miasta, w którym zginął George Floyd, opowiadają się za rozwiązaniem radykalnym, tzn. rozwiązaniem policji, co zwiększyłoby bezpieczeństwo obywateli. W Polsce zagrożenie związane z istnieniem policji na razie nie wymaga jeszcze tak drastycznych kroków. Fakty są takie, że mimo istnienia policji Polacy czują się w miarę bezpieczni. Policja zapewnia, że wobec Polaków, którzy nie uczestniczą w antyrządowych protestach, ale – zgodnie z zaleceniami rządu – zachowują wobec tych protestów społeczny dystans, żaden funkcjonariusz pałki nie użyje. Oczywiście może się zdarzyć, że pałka wymknie się spod kontroli i użyje się sama, bo jest giętka i jej zachowanie trudno przewidzieć. W efekcie przypadkową ofiarą takiej wyginającej się na wszystkie strony pałki bywa nie tylko protestujący, ale czasem także operujący pałką policjant. Pobić funkcjonariuszy przez ich pałki byłoby mniej, gdyby dysponowali oni bronią nowocześniejszą i łatwiejszą w obsłudze. Z pomocą policjantom przyszedł tutaj rząd, który planuje uzbroić ich w wozy z armatkami wodnymi, granatniki jednostrzałowe, ręczne i plecakowe miotacze pieprzu, a także w zapasy mieszanki pieprzowej do tych miotaczy. Mniejmy nadzieję, że jest to sprzęt bezpieczny, który podczas uspokajania



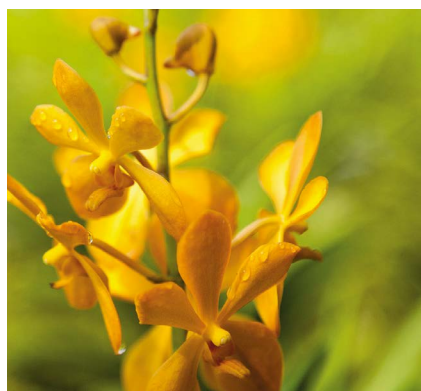
protestujących nie wyrządzi funkcjonariuszom żadnej krzywdy. W każdym razie dobrze, że rząd na wszelki wypadek postanowił do tego sprzętu dokupić policjantom nowe kaski ochronne oraz tarcze.

Rządowi zarzuca się, że wydaje miliony na policję, a nie pomaga finansowo pracownikom służby zdrowia czy przedsiębiorcom. Z tym że jeśli idzie o pomaganie przedsiębiorcom, rezerwę rządu rozumiem, bo w ostatnim czasie zachowanie przedsiębiorców pozostawia wiele do życzenia. Niektórzy z nich wychodzą nawet na ulicę, wznosząc antyrządowe okrzyki i nie okazując wdzięczności za pomoc, jaką otrzymali od rządu w postaci kolejnych tarcz. W dodatku skarżą się, że policja jest wobec nich agresywna, chociaż oni wobec polityki rządu są tak samo agresywni. Gdyby byli sympatyczniejsi, jestem pewien, że policja potraktowałaby ich lepiej. Np. tak jak dzika z Legnicy, który zjadł grupie dzieci pierogi, ale uniknął pałowania, bo zdaniem interwenujących funkcjonariuszy był nastawiony niekonfrontacyjnie. Niektórzy oskarżają policję, że traktuje przeciwników władzy gorzej niż dziki, ale policja zapewnia, że wszystkich traktuje jednakowo i ostrzeżę, że jeśli ktoś zostanie przyłapany na protestowaniu przeciwko władzy, poniesie surowe konsekwencje, nawet jeśli będzie dzikiem.

Leśniczówka Nibork – oaza spokoju



Fotografie Niborka z lotu ptaka: Józef Solski



Leśniczówka Nibork to magiczne miejsce.

Na skraju Mazur i Puszczy Napiwodzko-Ramuckiej, z dala od cywilizacji, z dala od zgiełku wielkiego miasta, znajduje się urokliwy dom pracy twórczej: doskonały na weekendowy wypad lub na wakacyjny urlop.

Można tu poczytać (lub popisać, jak kto woli), zjeść kolację przy świecach, pospacerować leśnymi duktami, odpocząć i zapomnieć, że jest w ogóle jakiś inny świat.

Leśniczówka Nibork
Dom Pracy Twórczej
Las Miejski 1, Nidzica
tel. +48 695 020 236
www.nibork.com



[www.facebook.com/
LesniczowkaNibork](https://www.facebook.com/LesniczowkaNibork)

Tak, to starcie cywilizacji



Mariusz Janicki

Kampania wyborcza z dnia na dzień coraz bardziej wyraźna na polityczną kulminację co najmniej dekady, jawi się jako spór o wartości podstawowe. Michał Dworczyk, szef KPRM, zauważył: „Mamy dzisiaj sytuację przełomową”. Adam Bielan, polityk obozu rządzącego, powiedział: „będziemy mieć starcie dwóch wizji w tej kampanii”. Poseł PiS Tomasz Rzymkowski poszedł najdalej: „Duda-Trzaskowski? To starcie cywilizacji” – i akurat w tym przypadku należy przyznać mu rację. Ostatnio było to widać dobitnie w kwestii stosunku do środowisk LGBT.

Prezydent Duda przywołał w tym kontekście „neobolszewizm”, którym indoktrynuje się dzieci. Joachim Brudziński zauważył, że „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza”. Przemysław Czarnek, prawnik z tytułem doktora habilitowanego, nowa gwiazda PiS, któremu wszyscy wróżą świetlaną przyszłość w partii, wyraził się o społeczności LGBT: „nie są równi normalnym ludziom” (o Czarunku i jego krucjacie przeciwko mniejszościom seksualnym więcej s. 28, także komentarz Jacka Dehnela s. 82). Wątek LGBT został użyty przez PiS instrumentalnie i warto go postrzegać także jako czysto polityczny wyborczy chwyt, przejechanie prętem po kratkach, dlatego reakcja też powinna być nacechowana politycznym rozsądkiem i rozeznanie. Ale widać już, że w nadchodzących wyborach rządzącym nie chodzi tylko o zachowanie władzy, utrzymanie tysięcy intratnych posad czy rozprawę z sądami, ale także o panowanie ideologiczne, mentalne. O stworzenie takiej umysłowej atmosfery, w której przytoczone wypowiedzi Dudy, Brudzińskiego czy Czarneka nie będą już budzić powszechnego oburzenia, by nie powiedzieć obrzydzenia. Bo wciąż jeszcze budzą.

W mediach społecznościowych, ale także w wystąpieniu Rafała Trzaskowskiego we Wrocławiu, pojawiły się cytaty ze słynnej przemowy Mariana Turckiego, kiedy ten więzień Auschwitz nawoływał: „nie bądź obojętny”, i dowodził, że wielkie zło zaczyna się od stygmatyzowania i dehumanizacji. Politycy opozycji, mający zresztą różne poglądy w kwestii rozwiązań cywilnoprawnych dla LGBT, zareagowali jednoznacznie, bo władza przekroczyła kolejną granicę, i to już nie tylko polityczną. W końcu ludzie PiS zaczęli się nieudolnie wycofywać ze swoich słów, używając starej wymówki, że zostali źle zrozumiani. Ale władza chce wygrać nadchodzące wybory także po to, aby już nie musiała się tłumaczyć z takich stwierdzeń, aby stały się one głównym nurtem. Stawka jest więc bardzo wysoka. W takim duchu „ostateczności” utrzymany był list Jarosława Kaczyńskiego do swojej partii i wyborców, gdzie pisze on o potrzebie ogłoszenia alertu i stwierdza, że zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego byłoby katastrofą polityczną, ekonomiczną i moralną. Katastrofa „moralna”, jak z tego wynika, polegałaby na zachowaniu resztek pluralizmu i tolerancji.

Zdaje się, że politycy PiS nawet bardziej dostrzegają istotę nadchodzącej batalii niż druga strona. Choć i tu widać otrzeźwienie. Przy okazji zbliżających się wyborów prezydenckich, bez większego rozgłosu, umarło słynne hasło z 2015 r.: „Nie straszcie PiS-em”. Ci, którzy je wówczas, ale także długo potem głosili, twierdząc, że trzeba Jarosławowi Kaczyńskiemu dać nową szansę, bo może się zmienić – jakoś zamilkli. Rozsądek i doświadczenie już wtedy podpowiadały, co się stanie po ponownym dojsciu PiS do władzy,

ale „dający szansę” przynajmniej teraz dochodzą mozolnie do wniosków, które były jasne już nie pięć, ale 15 lat temu.

Jednak wciąż żyje i ma się dobrze hasło, że „antyPiS to za mało”. Pojawiają się stwierdzenia, że, owszem, można winić PiS za to, co to ugrupowanie zrobiło z państwem, ale że krytycy władzy „nie mają pozytywnego programu”, nie proponują w zamian „niczego atrakcyjnego”. To hasło – zresztą zupełnie nieprawdziwe, bo propozycji programowych nie brakuje – jest teraz zmorą opozycyjnych kandydatów na prezydenta. Mogą oni czuć bezradność, kiedy chcą tłumaczyć, że poza wszystkim program 500 plus nie jest integralnie związany z propagandą TVP, podeptaniem trójpodziału władzy czy mową nienawiści.

Długo może jednak samo odsunięcie PiS od władzy jest samą istotną wartością i już na wstępie rozwiązuje masę problemów. W taką retorykę wszedł Trzaskowski, który daje do zrozumienia, że można zachować wszystkie aktywa wyniku z kilku lat dobrej koniunktury, także z rozsądnej polityki poprzedników dzisiejszej władzy, ale pozbyć się PiS z jego toksynami i fobiami (relacja z kampanii wyborczej s. 18). Widać przesłanki, że strategia Kaczyńskiego, aby to jego partia miała wyłączność na socjal sprzedawany w przymusowym pakiecie z autorytaryzmem i ideologiczną dominacją, właśnie się kruszy, co wzbudza w obozie rządzącym duży niepokój.

Byc może zatem trwająca prezydencka kampania staje się końcem prostego symetryzmu, który przez ostatnie lata stale wzmacniał obóz rządzący. Ktoś niedawno przypomniał na Twitterze niezwykle trafną refleksję zmarłej w czerwcu cztery lata temu Janiny Paradowskiej, że obiektywizm nie polega na wyciąganiu średniej z prawdy i kłamstwa. Można było odnieść wrażenie, że przez ostatnie pół dekady wielu publicystów, ale też wyborców, próbowało taką średnią obliczać. Jednak czołowe starcie, odwlekane i ukrywane, jest nieuniknione. W kampanii mówi się wiele o niezakończonym boju z koronawirusem (relacja ze Śląska i obraz polskiej sytuacji pandemicznej s. 12), zdrowiu, bezpieczeństwie czy wielkich „narodowych” inwestycjach władzy (o tym więcej na s. 15). Ale bez zachowania demokratycznej ramy te ważne przeciwieństwa nie znajdą trwałego rozwiązania.

Wciąż trwa niemądry mit, iż w polskim życiu politycznym chodzi o partyjną walkę PiS z Platformą i że to niszczy nasze życie publiczne. Jednak coraz wyraźniej widać, że to nie jest żadna „plemienna wojenka”, konflikt pokłóconych dawnych kolegów z Solidarności, którzy zabierają pole innym. To jest autentyczny, głęboki spór o ustrój państwa, międzynarodową pozycję Polski, o kryteria patriotyzmu i przyzwoitości. Tak się składa, że teraz przewodzą tym dwóm wizjom z jednej strony PiS, a z drugiej – najsilniejsze ugrupowanie opozycyjne, czyli Platforma. Gdyby to przedstawiciel Lewicy, PSL albo nowy bezpartyjny polityk objął rolę lidera „antyPiSu”, nie zmieniłoby to w niczym istoty tego sporu. Zrozumienie tego jest kluczem do nadchodzących wyborów, zwłaszcza w drugiej turze.

Jan Koza





PiS: wybory po wyborach

Sytuacji w PiS **Jarosław Kaczyński** poświęcił tylko jedno zdanie długiego listu do członków partii na wybory prezydenckie: „Zmiany są potrzebne także w naszych szeregach”. Ale z rozmów z posłami PiS wynika, że to właśnie zdanie rozbudza emocje niewiele mniejsze niż reelekcja Andrzeja Dudy (którą większość rozmówców traktuje jako pewnik). Kampania prezydencka jest w tej logice częścią partyjnej rywalizacji o wpływy i posady. W PiS trwa szeptanka; politycy wykorzystują domniemane i rzeczywiste błędy Dudy, by podkopać pozycję swoich przeciwników.

Aktywni są wrogowie Mateusza Morawieckiego (zarzucają premierowi, że niespecjalnie pomaga Dudzie), ale słychać też liczne narzekania na szefa sztabu **Joachima Brudzińskiego** (że pochłania go życie europołą, że struktury partii nie działają jak trzeba itp.). Sam Brudziński zszedł ze ścieżki, którą obrał jako wicemarszałek Sejmu i minister spraw wewnętrznych, gdy dał się poznać jako całkiem sprawny urzędnik i poważny polityk. „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza” – napisał ostatnio na Twitterze, dając sygnał do zaostrzenia kampanijnej retoryki. Donaldowi Tuskowi doradził zaś, żeby się wykapał i ogolił. – *Pozycja Brudzińskiego słabnie, nie ma już mowy, żeby został następcą Kaczyńskiego* – twierdzi jeden z naszych rozmówców. Inny dodaje, że stanowiska szefów okręgów straci część ludzi wiceprezesa PiS. To nawiązanie do czekającego partię przemeblowania – po wakacjach zaczną się wybory nowych władz: od szefów okręgów po prezesa i wiceprezesów partii.

Słowo „wybory” ma raczej luźny związek z rzeczywistością, bo proces wyłaniania władz partii kontroluje prezes. Nie ma mowy o tym, by lokalne struktury same wybrały sobie szefów – w każdym okręgu kandydata wskaże Jarosław Kaczyński i jest mało prawdopodobne, by działacze jego wybrańca odrzucili. Po wyborach w okręgach zwołany zostanie kongres, który wybierze prezesa (od 2003 r. jest nim Kaczyński i zapewne tak pozostanie) oraz radę polityczną partii. Ta z kolei – na wniosek prezesa – wybierze wiceprezesów i członków komitetu politycznego.

Nie jest to procedura demokratyczna, ale nie znaczy to, że rywalizacji nie ma; w PiS toczy się dziś wiele wojen. Nasi rozmówcy są przekonani, że Kaczyński będzie chciał awansować Morawieckiego na wiceprezesa partii (być może za Adama Lipińskiego, przebąkującego o politycznej emeryturze) i że będzie musiał przełamać cichy opór obecnego kierownictwa ugrupowania, w większości niechętnego premierowi. Część wpływów może stracić Brudziński. Zmianom w PiS będzie też – jak słyszemy – towarzyszyła przebudowa rządu. Podobno ma być mniej ministerstw, ale zakres rekonstrukcji zależy od wyniku wyborów prezydenckich. Jedno wydaje się pewne: po 12 lipca w PiS i okolicach będzie się działo dużo i ciekawie, nawet jeśli Duda pozostanie w Pałacu Prezydenckim. (WBS)

1 622 868

– tyle podpisów w zaledwie sześć dni zebrano pod kandydaturą Rafała Trzaskowskiego na prezydenta. Sztabowcy kandydata KO twierdzą jednak, że w sumie było ich o kilkaset tysięcy więcej (coś ponad 2 mln) – nie wszystkie listy dotarły jednak na czas, więc nie udało ich się złożyć w PKW. – *Wysłaliśmy stoliki w miasto, a po pół godziny nie było już na nich list, bo ludzie podchodzili i nie chcieli się tylko podpisywać, ale brać karty i samemu zbierać podpisy dla Rafała* – opowiada Sławomir Nitras.

Najwięcej podpisów zbierano na Mazowszu – 338 tys. (w tym głównie na terenie stolicy i okolic). Sporo zebrano też w tradycyjnych „bastionach PiS”: na Podlasiu (27 tys.), w Świętokrzyskiem (35 tys.), Warmińsko-Mazurskiem (42 tys.) czy na Podkarpaciu (46 tys.). Podobnie na Opolszczyźnie (33 tys.) i w Lubuskim (47 tys.) – w najmniej zaludnionych województwach. Politycy PO mówią, że dzięki tej ekspresowej zbiórce widzą, w których regionach gorzej funkcjonują struktury i trzeba je usprawnić. Chodzi m.in. o Śląsk (157 tys. w prawie 5-milionowej aglomeracji), Małopolskę (138 tys.) i Łódzkie (95 tys.).

Więcej podpisów złożył tylko komitet wyborczy Andrzeja Dudy (ok. 2,2 mln), tyle że urzędujący prezydent na zbieranie podpisów miał ponad 40 dni (pozostali kandydaci zebrali poniżej 300 tys.). Oprócz Trzaskowskiego do wyborczego wysługu dołączył też Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy – wprawdzie nie zebrał on teraz wymaganych 100 tys. podpisów, jednak Sąd Najwyższy uznał jego skargę i pozwolił mu dodać podpisy zebrane podczas poprzedniej próby rejestracji (przed wyborami, które miały być 10 maja). Pozostali chętni bez partyjnych struktur nie mieli praktycznie szans. W sumie 28 czerwca na wyborczej karcie będzie 11 nazwisk. (MLV)



Wybory parlamentarne 2019 r. Polacy w kolejce do lokalu wyborczego przy parafii pod wezwaniem NMP Matki Kościoła na Ealingu w Londynie.

Czy pakiety dojdą na czas do adresata, czy w odpowiednim terminie wrócą do policzenia? – *Możliwość głosowania wyłącznie korespondencyjnego bardzo skraca czas na dostarczenie pakietu i na odesłanie go. Ci, którzy mieszkają daleko od miejsc wyborczych, nie mają gwarancji, że ich głos dojdzie na czas, tym bardziej że poczta w czasie pandemii działa wolniej niż zwykle* – mówi sędzia Wojciech Hermeliński, były szef PKW. Dodaje, że każdy, kto uzna, że jego prawo wyborcze z jakichś powodów zostało ograniczone lub zostało tego prawa pozbawiony, może w ramach protestu wyborczego do Sądu Najwyższego zakwestionować wynik wyborów.

Problemem może być nie tylko to, czy poczta zdąży dostarczyć głosy do komisji. MSZ powołał tylko 169 zagranicznych obwodów do głosowania (w ostatnich wyborach parlamentarnych było ich 320). Niezbyt liczne komisje wyborcze za granicą będą musiały w ciągu 48 godzin przeliczyć głosy. Na mocy specustawy na wyniki z zagranicy w Polsce będzie się czekać maksymalnie 48 godzin od zamknięcia lokali (dotychczas w Kodeksie wyborczym obowiązywał termin 24 godzin). Jak tłumaczy szef PKW sędzia Sylwester Marciniak, jeżeli w ciągu 48 godzin protokoły z zagranicy nie dotrą, to głosowanie w tych obwodach uzna się za niebyłe. Te głosy nie zostaną doliczone do wyniku.

Ile waży zagranica?

Spore zamieszanie zafundowano Polakom mieszkającym za granicą i chcącym wziąć udział w najbliższych wyborach. Decyzją MSZ w niektórych krajach będzie można głosować wyłącznie osobiście (m.in. w Chorwacji, Danii i w niektórych obwodach Austrii), w 21 – tylko korespondencyjnie (np. w Niemczech, USA, Wielkiej Brytanii), w innych zaś – w systemie hybrydowym (w Czechach, Szwecji, Grecji, Chinach czy Rosji). Absurdalna sytuacja będzie we Francji. 28 czerwca planowana jest tam druga tura wyborów komunalnych. Głosowanie zostanie przeprowadzone w lokalach wyborczych – udział będą mogli wziąć w nim wszyscy mieszkający tam obywatele UE, w tym Polacy, choć ci jednocześnie nie będą mogli wybrać prezydenta swojego ojczystego kraju, bo we Francji dopuszczono tam wyłącznie korespondencyjne oddawanie głosu.

Terminy wyznaczono na styk. Do poniedziałku, 15 czerwca trzeba było zgłosić do konsula chęć wzięcia udziału w wyborach korespondencyjnych. Do 22 czerwca konsulowie muszą rozesłać karty wyborcze, a już po czterech dniach głos musi trafić do komisji.

Głosy Polonii mają znaczenie. W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. za granicą zagłosowało blisko 160 tys. osób. Wygrał Andrzej Duda – 56 proc. (w kraju – 51,5 proc.). Tymczasem różnica pomiędzy kandydatami – w ogólnym wyniku wyborczym – wynosiła 518 tys. głosów. W 2015 r. w wyborach parlamentarnych za granicą też wygrał PiS, zdobywając 33,6 proc. głosów (PO – 18,6 proc.). Jednak już po czterech latach rządów w 2019 r. Polonia zmieniła polityczne sympatie. W tych wyborach w sumie za granicą oddano 314 tys. głosów. Wygrała KO – 39 proc. (PiS dostał 24,9 proc. głosów). Polonusi są teraz mocno zmobilizowani. W poniedziałek (do zamknięcia numeru) ponad 300 tys. osób zgłosiło chęć głosowania korespondencyjnego (do tego trzeba doliczyć tych, którzy za granicą będą mogli zagłosować w tradycyjny sposób). Być może znów będą chcieli pokazać PiS czerwoną kartkę. Pytanie tylko, czy ich głosy zostaną wzięte pod uwagę? (DAB.)

Bon prowakacyjny

System dopłat do wyjazdów wakacyjnych ma powstać do końca lipca. Skoro jednak przez trzy miesiące rząd nie uporał się nawet z pomysłem, jak ma wyglądać, branża turystyczna obawia się, że na pieniądze z bonu do jesieni raczej liczyć nie może. Za to Andrzej Duda może liczyć na dodatkowe głosy od 2,4 mln rodzin z dziećmi, do których bon ma być adresowany. Zamiast bowiem stać się znaczącym wsparciem dla firm związanych z turystyką i wypoczynkiem, które są ofiarą pandemii, bon stał się ważnym elementem kampanii wyborczej prezydenta.

Najpierw miało to być 1000 plus, które rząd obiecał dopłacać do krajowych wakacji osobom pracującym zarabiającym nie więcej niż średnia krajowa. Beneficjentami programu, którego koszt oszacowano na 7 mld zł, stałoby się 7 mln obywateli. Zaczęto więc go odchudzać.

Najpierw przysługiwał tylko zatrudnionym na etacie i kosztować miał państwo



900 zł od pracownika, ponieważ po 100 dołączyliby pracodawcy. W PiS najwyraźniej jednak uznano, że większą skuteczność wyborczą będzie miał program adresowany do rodzin z dziećmi, do których kierowane jest 500 plus. Przy okazji zaoszczędzi się połowę, gdyż koszt zmniejszy się do 3,5 mld zł. I jeśli nawet realizacja bonu się spóźni (sam rząd nie wierzy, że program wystartuje

w wakacje, więc przedłuża jego ważność do końca 2021 r.), to jego beneficjenci i tak okażą wdzięczność przy urnach. Niezadowolone branży turystycznej zeszło na drugi plan. To, że opóźniony start programu może oznaczać plajtę wielu przedsiębiorstw turystycznych, także.

Opóźnienie jest tym bardziej prawdopodobne, że – choć wakacje za pasem – rząd zamierza najpierw stworzyć Katalog Bazy Turystycznej, czyli coś w rodzaju spisu firm, do których będą mogły trafiać pieniądze z bonów. Pojawi się okazja do manipulacji, które firmy mogą, a które w żadnym wypadku korzystać ze wsparcia; wszystko to będzie trwało. Rodziny nie otrzymają też bonu w postaci karty prepaidowej, ale kodu elektronicznego – najpierw więc będzie trzeba się zarejestrować na Platformie Usług Elektronicznych ZUS. Komplikacji jest coraz więcej, ale wszelkie niedoróbki i opóźnienia ujawnią się już po wyborach. (JSC)



Lekcje z matury, czyli pozorowane procedury

Joanna Cieśla

Maturzyści w maseczkach, oddaleni od siebie o przepisowe półtora metra – tylko do wyjścia za szkolną furtkę (choć i to nie zawsze); egzaminujący w przyłbicach – do czasu wyjazdu dziennikarskich ekip... W zachowaniach z pierwszego tygodnia matur jak w soczewce odbija się polskie podejście do epidemicznych zasad bezpieczeństwa.

– *Wszystkie te ograniczenia to fikcja. Niektórzy moi znajomi umawiali się z kolegami na wspólną drogę do szkoły, szli obok siebie, mijając kilkaset osób, przez całe miasto, bez maseczek. A potem zakładali je w progu szkoły* – opowiada maturzystka z Siedlec. W progach wielu liceów i techników dodatkowo mierzono uczniom temperaturę. Gdziekolwiek do akcji wkroczyli terytorialsi. Funkcjonariusze 6. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej sprawdzali ciepłotę ciała maturzystów w grójcekim Zespole Szkół im. Armii Krajowej Obwodu Głuszczyca-Grójec, wykorzystując w tym celu... celowniki termowizyjne SCT Rubin. Nie bardzo wiadomo, czemu miało to służyć, zwłaszcza że oficjalne procedury sanitarne nie wymagały mierzenia gorączki zdającym. Przygotowano osobne sale i „zapasowe” komisje na wszelki wypadek, gdyby ktoś z podwyższoną temperaturą pojawił się jednak na egzaminie, ale w żadnej ze szkół, z którymi mieliśmy kontakt, nic takiego się nie zdarzyło. 196 osób zrezygnowało natomiast z egzaminu w pierwszym w terminie, wnosząc o zdawanie w dodatkowym – na początku lipca. Mieli tak robić chorzy lub przebywający na kwarantannie, ale według szefa Centralnej Komisji Egzaminacyjnej we wcześniejszych latach mniej więcej tyle samo maturzystów ze względów zdrowotnych nie podchodziło do matur w zwyczajowym majowym terminie.

Poza czasem egzaminu w wielu szkołach panował swobodny ruch: maturzyści podchodzili do stolików kolegów, zdarzały się uściski, „niedźwiadki”, także uczniowsko-nauczycielskie. Nerwy, emocje – trudno było tego uniknąć.

Sztywniej trzymano się antywirusowych wytycznych, gdy w szkołach pojawiała się policja, co zresztą miało związek nie tylko z epidemią. Zgodnie z przewidywaniami do licznych szkół trafiły maile z fałszywymi „ostrzeżeniami”. Straszono nie tylko bombami (m.in. w Olsztynie, Płocku i Siedlcach), ale i atakami sarinem (!) – z tego powodu w niektórych liceach w Świętokrzyskiem przedmaturalny weekend spędzono na plombowaniu okien, i koronawirusem – do szkół na Podlasiu trafił mail „od ministra Łukasza

Sumowskiego”: „Państwa szkoła jest nowym ogniskiem COVID-19. Należy odwołać dzisiejszą maturę”.

Dyrektorzy szkół na Podlasiu kończyli pierwszy egzaminacyjny tydzień na granicy wytrzymałości nerwowej, zwłaszcza po ujawnieniu podejrzeń dotyczących maturalnych przecieków. Na twitterowym profilu Emocje w sieci pojawiła się informacja, że dokładne frazy pojawiające się w jednym z zadań były wyszukiwane dwie godziny przed rozpoczęciem matur przez internautów głównie z województwa podlaskiego. Z czasem zwrócono uwagę na zapytania niepokojąco dopasowane także do innych maturalnych zdań. Kolejny dzień przyniósł z kolei sygnały o domniemanym przecieku arkusza z matematyki. CKE złożyła doniesienia na policję.

Z nieoficjalnych rozmów z uczniami i nauczycielami można wysnuć wniosek, że do przecieku – przynajmniej w przypadku języka polskiego – rzeczywiście mogło dojść. Dość dokładną treść jednego z maturalnych pytań oddawał jeden z tzw. pewniaków wymieniający na forach poświęconych lekturom – takie rozmowy uznaje się za część swoistego przedmaturalnego rytuału; 100 proc. trafności tego „strzału” podobno zszokowało samych zainteresowanych. Pytanie, kto świadomie z ewentualnego przecieku korzystał, jakie mogą być tego skutki i kto powinien za to odpowiedzieć. W skali kraju na pewno nikt matur nie nieważni, w skali województwa zapewne też – w końcu wybory już niedługo.

Można odnieść wrażenie, że wśród zaangażowanych w temat matur dominuje podejście „byleby mieć to za sobą”. Do obowiązkowych egzaminów przystąpiło ponad 270 tys. tegorocznych absolwentów, a także kilkadziesiąt tysięcy osób, które poprawiały wyniki z poprzednich lat. Statystycznie szacując, w tej grupie musiało się znaleźć przynajmniej kilkuset zakażonych koronawirusem. I przy opisanym podejściu do procedur nie ma możliwości, aby wirus nie został przekazany dalej. Czy egzaminacyjną machiną można było przeprogramować tak, żeby działała bezpieczniej? Można było. Organizatorzy matur międzynarodowych zdecydowali odwrotnie niż polskie MEN: zrezygnowali z pisemnych egzaminów, oceny wystawia się częściowo na podstawie zdalnych egzaminów ustnych, częściowo na podstawie wcześniejszych prac. Polska oświata jest jednak do pisemnych matur bardzo przywiązana. O konieczności ich przeprowadzenia przekonywali przedstawiciele wyższych uczelni, którzy na podstawie ich wyników od lat rekrutują na studia. Rezygnacja z tej formuły na pewno wymagałaby więcej pracy i wysiłku. Nie było komu nad tym myśleć – energia rządzących skupiała się w zupełnie innych obszarach. Zobaczmy, komu i ile przyjdzie za to zapłacić.

COVID-19, TYDZIEŃ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Liczba zarażonych koronawirusem na świecie zbliża się do 8 mln (według Johns Hopkins University w poniedziałek, 15 czerwca), a liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 435 tys. W Europie generalnie sytuacja poprawia się, w USA liczba zachorowań jest stabilna, a epicentrum znajduje się w Ameryce Łacińskiej – w Brazylii, Meksyku, Peru, Chile i Ekwadorze. Ze 130 tys. nowych przypadków wykrywanych codziennie (to najwięcej od początku pandemii) większość przypada na cztery kraje: Stany Zjednoczone, Brazylię, Rosję i Indie. W USA, najbardziej dotkniętych koronawirusem, jest ich 2,1 mln, a liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 110 tys. (codziennie 20 tys. zakażeń i 800 ofiar); w Nowym Jorku odnotowano sporą poprawę, ale sytuacja pogarsza się w kilku stanach. Druga pod względem liczby zakażonych jest Brazylia – ponad 870 tys. przypadków i 44 tys. ofiar; tam sytuacja przybiera dramatyczny obrót. Według wielu analiz dane są wielokrotnie zaniżone, m.in. z powodu małej liczby testów.

WRosji, trzeciej pod względem liczby przypadków, zanotowano ich ponad 530 tys. i 7 tys. śmiertelnych, która to liczba zdaniem Mike'a Ryana z WHO „jest trudna do zrozumienia”. W samej Moskwie było w maju 5799 dodatkowych zgonów w porównaniu ze średnią z ostatnich 3 lat, prawdopodobnie z powodu koronawirusa. Na Europę przypada połowa z 10 najbardziej dotkniętych państw, wszędzie tam krzywa zachorowań powoli gaśnie. Najwolniej w Wielkiej Brytanii (blisko 300 tys. przypadków, 42 tys. śmiertelnych). Według doświadczeń Danii i Austrii, przodujących w łagodzeniu obostrzeń,

nie spowodowało to nowej fali zachorowań. Od 15 czerwca Unia praktycznie otworzyła swoje wewnętrzne granice, choć są to różne pułapki i wyjątki. Skandynawowie nie wpuszczają Szwedów, Hiszpania (która przyspieszyła otwieranie pod presją Brukseli) nie wpuszcza Portugalczyków, a Polaków – Słowacja, Węgry i Rumunia. W ramach eksperymentu 10 900 Niemców udało się na hiszpańskie Baleary, mają być na nich testowane nowe zasady bezpieczeństwa (co roku spędzało tu wakacje 4,5 mln niemieckich turystów, w tym sezonie liczy się na 1,5 mln). Z kolei Niemcy otworzyli szeroko swoje granice przed pracownikami sezonowymi (późno, bo kończą się już truskawki i szparagi).

Komisja Europejska oskarżyła Rosję i Chiny o zmasowaną kampanię dezinformacyjną i falę sterowanych fake newsów podważających skuteczność i sprawność w walce z pandemią i kryzysem. Po raz pierwszy wskazano palcem na Chiny: „Powinniśmy takie przypadki skutecznie wyłapywać i nazywać po imieniu” – komentowała Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji.

Wśród ofiar koronawirusa znalazł się ustępujący prezydent Burundi 55-letni Pierre Nkurunziza, choć oficjalnie tego nie potwierdzono, a kraj dosyć lekceważąco podchodzi do zagrożenia. Koronawirusem zaraził się mer São Paulo, brazylijskiego epicentrum, Bruno Covas, chorujący na raka. A także Olena Zełenska, małżonka prezydenta Ukrainy; Wołodimir i dwójka dzieci mają testy negatywne, co jest kolejną covidową zagadką. Niemcy, Francja, Holandia i Włochy podpisały umowę z grupą farmaceutyczną AstraZeneca na dostawę 300 mln dawek szczepionki, gdy tylko zostanie skutecznie przetestowana.

KOMENTARZ

Sojusz egzotyczny

Łukasz Wójcik



Premier Mateusz Morawiecki zasugerował, że Polska chętnie przyjmie amerykańskie jednostki, które mają być wycofane z Niemiec. To efekt doniesień „The Wall Street Journal”, wciąż niepotwierdzonych przez Waszyngton, że prezydent Trump nakazał wycofanie ok. 9,5 z 35 tys. żołnierzy stacjonujących obecnie za Odrą. (O historii obecności żołnierzy USA w Niemczech piszemy na s. 56).

Obie te deklaracje trzeba włożyć w dwa konteksty wyborcze. Dla PiS sojusz z Ameryką stał się fundamentem polityki bezpieczeństwa, dystansując, a nawet dublując pozostałe. Gra to zarówno w tej części polskiej duszy, która kocha Amerykę bezwarunkowo, jak i tej, która nienawidzi „eurokołchozu”. Dla Trumpa z kolei każdy zagraniczny spór, szczególnie taki, w którym może odegrać rolę autorytetu moralnego, każąc jednych (Niemców) i nagradzając innych (Polaków), odciąga uwagę od jego katastrofalnej reakcji na koronawirusa i kryzysu gospodarczego w USA przed listopadowymi wyborami prezydenckimi.

Zapowiedź – o ile prawdziwa – przeniesienia amerykańskich żołnierzy z Niemiec do Polski należy więc traktować z dużą rezerwą. Tym bardziej że byłby to problem nie tylko logistyczny (brak

nam infrastruktury), ale też strategiczny. Obecna władza przekonuje, że sama obecność Amerykanów powstrzyma Rosję przed atakiem. W myśl, że jeden zabity żołnierz US Army będzie oznaczał wojnę z Ameryką. Taki mechanizm działa na zajęciach z logiki, ale w praktyce może być różnie. Jeśli natomiast przyjąć, że obecne w Polsce amerykańskie oddziały będą podstawą do rozwinięcia sił zdolnych do realnej obrony naszego terytorium, to pojawia się pytanie, skąd to „rozwiniecie” miałoby przybyć, skoro już nie z Niemiec?

Poza tym znów dajemy się wciągnąć w bezprzedmiotową dyskusję. Przeniesienia wojsk z Niemiec do Polski nie będzie, mimo kolejnych deklaracji i obietnic. Tak jak nie będzie „Fortu Trump”, o czym donosi agencja Reutersa. Trump napotka zbyt duży opór republikanów w Kongresie, a kampania prezydencka zamrozi takie tematy. Natomiast sugestie o przerzuceniu żołnierzy wpływające z otoczenia Trumpa układają się w spójną strategię. Wielokrotnie mówił o tym, że UE m.in. dzięki niesprawiedliwym umowom handlowym okrada Amerykę, i że jest w tym nawet gorsza od Chin. Gdy popierał brexit, nie ukrywał, że chodzi mu o osłabienie Unii (czyli również nas, dla przypomnienia). Teraz, sugerując przerzucenie części wojsk z Niemiec do Polski, próbuje wbić klin między Warszawę a Berlin, pod czym ta pierwsza stolica ochoczo i bezrefleksyjnie się podpisuje.

Nasze relacje z Ameryką coraz lepiej wpisują się w Cat-Mackiewiczowską definicję egzotycznego sojuszu. Czyli przymierza między państwami zbyt odległymi, o zbyt różnych potencjałach i w sumie mało zbieżnych celach. „Żubr” z Wilna ostrzegał tak przed egzotycznym sojuszem z Wielką Brytanią. I niestety wykrakał. Gdy nas – nie daj Boże – Amerykanie zawiódą, nowa polska sanacja powie, że przecież obiecali... A potem będzie coś o zdradzie i wyższości moralnej. To wszystko już było.

Natrętny morderca?

Nigdy się zapewne nie dowiemy, kto w lutym 1986 r. zabił w Sztokholmie premiera Olofa Palmego strzałami z rewolweru. Największe na świecie śledztwo trwające ponad 34 lata i kosztujące szwedzkiego podatnika (w przeliczeniu) pół miliarda złotych, zakończyło się w minionym tygodniu kompletnym fiaskiem. Policji i prokuraturze nie udało się udowodnić, mimo wcześniejszych zapewnień, że mordercą mógł być nieżyjący już od 20 lat **Stig Ekström**.

Był on na miejscu przestępstwa i sam zgłosił się na policję po tym, jak jeden ze świadków przedstawił rysopis osoby uciekającej po zabójstwie. Twierdził, że świadek ten widział właśnie jego, ale nie uciekającego, tylko goniącego za rzeczywistym, według niego, sprawcą.

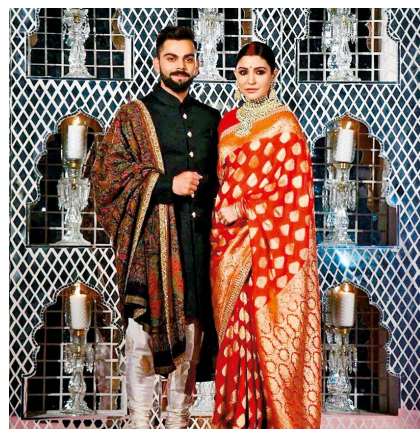
Ekström, przedstawiany w szwedzkich mediach jako człowiek ze Skandii (towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym pracował), został po tym wyeliminowany z grupy



podejrzanych. Kolejne ekipy śledcze wierzyły w jego wersję i przestały się nim interesować. Ekström zaczął się skarżyć mediom, że lekceważy się jego świadectwo. Chętnie pokazywał się w telewizyjnych rekonstrukcjach zabójstwa Palmego, narzekając na policję. W śledztwie pojawiały się liczne inne ślady, a Ekströma traktowano jako natręta utrudniającego operację.

W ostatnich latach zaczęły się ukazywać publikacje przedstawiające Ekströma jako możliwego zabójcę. Niektórzy podzielają tę wersję, m.in. obydwa synowie Palmego, w przeciwieństwie do żony b. premiera, do której też strzelono. Koronny świadek wydarzenia Leif Ljungqvist

twierdzi natomiast, że zapamiętany przez niego wówczas Ekström przybył na miejsce dopiero kilka minut po zabójstwie. I nazwał obecne stanowisko policji i prokuratury „skandalicznym unikami służącym ukryciu własnych grzechów”, które pozwoliły mordercy uniknąć kary.



Rozwiedź się, Virat

Nazywanie ich indyjskimi Beckhamami to zdecydowane umniejszenie ich lokalnej celebryckiej sławy, mierzonej w miliardowej skali. Ona, **Anushka Sharma**, modelka i gwiazda Bollywood, on, **Virat Kohli**, kapitan reprezentacji narodowej krykieta, najważniejszej tu dyscypliny sportu. Od hucznego megalubów w 2017 r. w zasadzie nie opuszczają świecznika. Uchodzą za idealną parę – i codziennie można się dowiedzieć, co u nich aktualnie słychać.

Choć może należałoby użyć czasu przeszedł, bo mimo przytłoczenia koronawirusem – w Mumbaju zachorowało już więcej osób niż wcześniej w Wuhanie – Indie zbulwersował dziki skandal. Serial „Paatal lok”, co można przetłumaczyć jako „Złodziejski światek”, wyprodukowany przez Anushkę, od 15 maja wyświetlany na Amazon Prime, zebrał dobre recenzje, ale i tysiące głosów oburzenia. Głównie z kręgu rządzącej nacjonalistycznej BJP, Indyjskiej Partii Ludowej premiera Narendry Modiego. Zarzucają serialowi, że przedstawia przeczerniony i nieprawdziwy obraz kraju, gdzie dociekliwym dziennikarzem grozi śmierć, konflikty kastowe kwitną w najlepsze, policjanci i politycy są bezgranicznie skorumpowani, a hinduska większość prześladowuje muzułmańską mniejszość (czyli mniej więcej tak jak w życiu). Dodatkowo Gurkhów oburzył drugi odcinek, „powielający stereotypy”, a Sikhów – trzeci, bo przedstawił ich w niekorzystnym świetle. Pojawiły się opinie, że stosowne sekwencje powinno się wyciąć z serialu.

Krok dalej poszedł deputowany BJP Nandkishor Gurjar z Uttar Pradesh, najlicniejszego stanu, ostoi hinduskiego nacjonalizmu. Zaapelował do ministra informacji, aby w ogóle zabronił publikowania serialu, jako „zagrożającego bezpieczeństwu narodowemu”. A Virata wezwał do rozwodu z Anushką, bo kapitanowi reprezentacji nie przystoi taka partnerka. To wezwanie może mieć daleko idące konsekwencje. A publiczność pewnie będzie śledzić z wypiekami kolejne odcinki tego równoległego serialu, rozgrywanego jak najbardziej w realu.

Pomniki zadrżały

Najbardziej spektakularną konsekwencją zabójstwa Afroamerykanina George'a Floyd'a i późniejszych międzynarodowych protestów jest obalenie pomników. Jako pierwsi padli bohaterowie bezpośrednio związani z niewolnictwem, jak belgijski król z przełomu XIX i XX w. **Leopold II**, odpowiedzialny za śmierć milionów mieszkańców Konga, którego pomnik usunięto z Antwerpii, czy Edward Colston, nieco naciągany patron Bristolu, który pod koniec XVII w. zbił fortunę na handlu niewolnikami, a teraz wylądował w rzece.

W ubiegłym tygodniu krąg podejrzanych pomników się rozszerzył. W USA znów pod ostrzałem, ale wciąż na piedestale jest gen. Robert E. Lee i kilka jego monumentów. To się szybko nie zmienia, bo wszystkie one są w południowych stanach, gdzie ten lider Konfederacji ma rangę półświątego. Dostaje się też Krzysztofowi Kolumbowi, który w kilku miastach USA dosłownie stracił już głowę. Choć akurat ten najsławniejszy – na Manhattanie – się ostał, po tym jak gubernator Andrew Cuomo powiedział, że ten genuetczył bardziej niż eksterminację rdzennych ludów Ameryki symbolizuje włoskie korzenie tego kraju. Bezpieczny nie może się czuć nawet Jerzy Waszyngton, który w Chicago został



podpisany – zgodnie z prawdą – jako „właściciel niewolników”.

Ta pomnikoburcza fala dotarła już do Europy, gdzie po obaleniu Leopolda dość niespodziewanie zagrożony jest Winston Churchill. W Londynie dostało mu się od rasistów (rzeczywiście, twierdził, że białe jest lepsze – jak większość jemu współczesnych), po czym do jego fizycznej obrony stanęli przedstawiciele skrajnej prawicy. Komik Danny Wallace zwrócił uwagę, że „człowiek, który uchronił nas przed hajlowaniem, jest fetowany przez ludzi, którzy hajlują”. Poszukiwania pomników ludzi bezgrzesznych wciąż trwają.

Śląskie ognisko

Zarażeni koronawirusem górnicy nie gorączkują. Ale temperatura na Śląsku jest wysoka. Kraj boi się przyjezdnych Ślązaków. Czesi zamknęli granice ze Śląskiem. Władza zamyka kopalnie, a górników w domach. Do wyborów.

JULIUSZ CWIELUCH

Na poniedziałek Gabriela Staszkiwicz umówiła się na kawę z Gabriellą Hřebačkovą. Łączy je nie tylko imię i chyba przyjaźń, ale również funkcja. Obydwie są burmistrzami. I to jednego miasta. Tyle że podzielonego na pół przez rzekę Olzę i historię. Hřebačková i Staszkiwicz skupiają się na tym, co łączy, a nie dzieli. Tyle że 13 marca znowu zaczęła dzielić je granica, zamknięta z powodu koronawirusa. – *Nie widziałam Gabrysi już od trzech miesięcy. Oczywiście miałyśmy kontakt telefoniczny, ale to nie to samo. Czasem umawiałyśmy się nad rzeką, żeby chociaż sobie pomachać* – mówi Gabriela Staszkiwicz, burmistrz Cieszyna.

Na kawę ze swoją czeską przyjaciółką umawiała się już od kilku dni. Przez te trzy miesiące nazbierało się sporo spraw do załatwienia. No i się za sobą stęskniły. W zeszły piątek po południu okazało się, że sąsiadka przyjaźń znowu przegrała z wielką polityką. – *Nagonka na Śląsk przekroczyła nawet granice państwowe. Śląskiem straszy się już nie tylko resztę Polaków, ale też Czechów* – mówi burmistrz Cieszyna. Czeskie ministerstwo zdrowia przy okazji odmrażania granic wpisało Śląsk, obok Szwecji i Portugalii, na krótką listę miejsc, do których nie można podróżować bez kwarantanny. Niby granica z Polską zostanie otwarta, ale nie dla wszystkich. – *My, Ślązacy, będziemy musieli mieć aktualny wynik testu na koronawirusa. A Czesi po powrocie od nas będą musieli przejść kwarantannę. To skandal. Ci z opolskiego do Czech będą mogli wjeżdżać bez problemu* – denerwuje się Staszkiwicz. Przez weekend dzwoniła w tej sprawie wszędzie, gdzie się dało. Jednak rząd i polska dyplomacja byli na urlopie, a prezydent zajęty kampanią wyborczą, więc najwyżej, gdzie się dodzwoniła, to był główny inspektor sanitarny.



Nie pomógł, ale chociaż odebrał. – *Ja do Czechów nie mam żalu. Oni też mają wybory i muszą pokazać, że obchodzi ich los obywateli. Tylko ja się pytam, gdzie w tym wszystkim jest nasza dyplomacja, nasze państwo?* – mówi burmistrz Cieszyna.

Sukces na miarę możliwości

Kiedy zamykana była granica pomiędzy jednym a drugim Cieszynem, w Polsce oficjalnie raportowano 21 zakażeń koronawirusem.

Po dwóch miesiącach walki z pandemią liczba nowych przypadków ciągle nie spadała poniżej 200. A były takie dni, kiedy pojawiało się ich grubo ponad 400.

Kiedy 6 czerwca wdrażano czwarty i najdalej idący etap odmrażania gospodarki,

Ministerstwo Zdrowia raportowało 576 nowych zakażeń koronawirusem, z czego – jak podkreślał resort – większość, bo aż 346 przypadków, wykrytych w kopalni KWK Zofiówka.

Rządzący szybko i bez wahania weszli w tę narrację o „śląskim ognisku”. Minister zdrowia

już 9 czerwca tłumaczył, że ogólnie wciąż można mówić o wielkim polskim sukcesie w walce z pandemią. A statystykę psuje szeroka „akcja wymazywania wszystkich górników, bez której mielibyśmy ewidentne spadki”. Samorządowcy ze Śląska widzą ten problem inaczej.

– *W czasie walki z pandemią rząd ciągle zmieniał cele i narrację. Po cichu realizuje szwedzki model walki z koronawirusem, ale oficjalnie nikt się do tego nie przyzna* – mówi Piotr Kuczera, burmistrz Rybnika.

W Rybniku jak w soczewce widać, że walka polityczna ma priorytet nad walką z wirusem. Kiedy lokalny sanepid ewidentnie nie radził sobie z pandemią, Kuczera, związany z Platformą Obywatelską, zaproponował, że deleguje do pomocy sześciu swoich pracowników z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. O ile dyrektor sanepidu był na tak, o tyle wojewoda już na nie. Alina Kucharzewska, rzecznik prasowy wojewody śląskiego, przekonywała lokalne media, że problemem nie jest liczba pracowników, ale mieszkańcy, którzy dzwonią i blokują linie:

– *Nawet jeżeli uruchomiłoby się sto linii telefonicznych, to niestety dzwoniący nawet przez kilka*

godzin blokują te linie, więc trudno, żeby ktokolwiek inny dodzwonił się do sanepidu. Tak jakby mieszkańcy dzwoniли do sanepidu dla sportu.

Na Śląsku świetnie widać było, jak oficjalna propaganda rozjechała się z rzeczywistością. – *Najpierw ogłoszono sukces walki z pandemią, a jak nie udało się zaczarować rzeczywistości, to zaczęło się wieszanie psów na Ślązakach, że zrobili z Polski drugą Lombardię. Tak jakby rząd nie miał z tym nic wspólnego* – mówi prezydent Rybnika. Zdaniem filozofa i radnego sejmiku śląskiego prof. Tadeusza Sławka PiS sięgnął po stary chwyt z dzieleniem Polaków, bo na przykładzie Śląska dobrze to wychodzi. – *Zawsze można powiedzieć, że to ukryta opcja niemiecka, przypomnieć, kto za komuny jadał szynkę, albo dać górnikom wątpliwe przywileje. Wątpliwe, bo sytuacja ekonomiczna w górnictwie jest bardzo trudna i winę za to ponosi w dużej mierze obecny rząd, który naprawę górnictwa powierzył Jackowi Sasinowi, ministrowi od nieudanych spraw* – wylicza prof. Sławek. A przy okazji przypomina, że PiS boi się górników jak ognia, więc obwiniając ich za wybuch epidemii i podsycając do nich niechęć obietnicą 100 proc. wypłat za postój w kopalniach, piecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Nikt nie będzie współczuł, kiedy kopalnie zaczną padać, ani pytać, co z tym zrobiła władza.

Tyle że niejeden rząd mocno się już sparzył, podsycając ogień na Śląsku.

PiS boi się górników, więc obwiniając ich za wybuch epidemii i podsycając do nich niechęć, piecze dwie pieczenie na jednym ogniu.

Korona korony

Tak napiętej sytuacji na Śląsku nie było od pięciu lat, kiedy w czasie strajku w Jastrzębskiej Spółce Węglowej policja strzelała do górników gumowymi kulami. – *Prawda jest taka, że to myśmy pomogli obalić rząd Platformy Obywatelskiej w 2013 r., opuszczając Komisję Trójstronną, a w 2015 r. rozkręcając strajk, i to pomimo że sąd uznał, że był nielegalny. I dobrze by było, żeby PiS jednak o tym nie zapomniał* – mówi bez owijania w bawełnę jeden z górniczych związkowców. Zgodził się na rozmowę, bo widzi, że górnictwu grunt usuwa się spod nóg, a PiS ma ważniejsze cele niż ratowanie kopalń. Ostatni sukces związkowcy odnieśli w lutym, kiedy zmusili władze Polskiej Grupy Górniczej do 6-proc. podwyżek dla załogi. Zwycięstwo budziło niedosyt, bo związki domagały się 12 proc. I całkowitego wstrzymania importu węgla do Polski. Nie dość, że sukces był połowiczny, to jeszcze krótkotrwały. – *Już w kwietniu okazało się, że pieniędzy nie ma i trzeba zaciskać pasa. Musieliśmy się zgodzić na skrócony o jeden dzień tydzień pracy i 20 proc. obniżki płac* – dodaje.

Pierwsze przypadki koronawirusa w kopalniach zaczęły się pojawiać już pod koniec marca. Ale w Ministerstwie Aktywów Państwowych, które sprawuje nadzór nad górnictwem, mieli wtedy inne smartwienia. W decydującą fazę wchodził właśnie konflikt pomiędzy ministrem Jackiem Sasinem a wiceministrem Adamem Gawędą, który był równocześnie pełnomocnikiem rządu ds. restrukturyzacji górnictwa. – *Tak się złożyło, że protegowanego Gawędy oskarżono akurat wtedy o mobbing i molestowanie podwładnych w spółce JSW Innowacje* – mówi związkowiec. Kilka dni później Gawęda stracił stanowisko. Jego obowiązki przejął minister Sasin. Ale tylko na papierze, bo miał ważniejsze problemy na głowie. Właśnie szykował się do przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych. ▶